Kraków, 6-go kwietnia 1913 r.

Rok 9. Nr. 7.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy" nr. 14.

Dzieci Kochane!

Małe jeszcze jesteście i niewiele lat żyjecie na świecie, a czy jest między wami choćby jedno takie dziecko, co Pana Boga nie obraziło ani jednym grzechem? Oj, pewnie, że niema! Są między wami dzieci bardzo dobre, grzeczne, pilne, posłuszne i skromne, ale i takiemu dziecku zdarzy się czasem, że nie odrazu posłucha mamy czy ojca, że uderzy w gniewie siostrzyczkę lub brata, albo inną przykrość im zrobi, że nie uważa w szkole, nie nauczy się z lenistwa lekcyi zadanej i t. p.

Prawda, że to grzechy niewielkie, ale i mały grzech, najmniejszy zasmuca Pana Boga, obraża Go, duszę plami i Pan Bóg za niego karze. Gdyby dziecko umarło z takimi grzechami małymi, nie pójdzie wprawdzie do piekła, ale i do nieba nie wejdzie odrazu. Musi się z tych plam, które grzech zostawił na duszy, oczyścić, bo Pan Jezus powiedział, że nic nieczystego nie wejdzie do nieba, musi pójść do czyśca. A czy dobrze tam w czyścu? Oj, nie dobrze, ale źle i bardzo tam cierpi biedna dusza, nim się oczyści tak, aby mogła wejść do nieba. Więc strzeżcie się dzieci bardzo każdego grzechu nawet najmniejszego, abyście Pana Boga nie zasmucały, i aby was Pan Bóg nie potrzebował karać ani tu na ziemi dopóki żyjecie, ani po śmierci w czyścu. Strzeżcie się każdego, nawet najmniejszego grzechu i dlatego, bo gdy dziecko często popełnia grzechy małe, tak się do nich przyzwyczai, że potem łatwo popełni grzech wielki, ciężki. Przy chrzcie św., dał wam Duch Św. świa-

tość czyli łaskę poświęcającą. Ta łaska poświęcająca daje twojej duszy zdrowie i siłę. Gdy masz w duszy łaskę poświęcającą, łatwo ci czynić dobrze, łatwo nie słuchać złej ochoty, czyli pokusy do złego. Gdy popełnisz mały grzech, ubywa ci tej łaski poświęcającej, masz jej mniej, i duszyczka twoja jest wtedy chora — słabsza i po każdym grzechu małym coraz słabsza. Wtedy już trudno ci oprzeć się złemu, i nawet się nie spostrzeżesz, jak popełnisz wielki, ciężki grzech. Więc dzieci kochane, strzeżcie się małych nawet grzechów i nie róbcie nigdy tego, co wiecie, że jest złe, że się Panu Bogu nie podoba. Gdy wam przyjdzie ochota zrobić co złego, proście Matki Najświętszej, aby wam pomogła do dobrego, żebyście źle nie zrobiły, nie zgrzeszyły, a Ona was nigdy nie zostawi bez pomocy.

KRZYŻYK.

Kiedy pastuszki dla boskiej Dziecinki
Dawali różne dary, upominki!
Wojtuś pastuszek nieduży, młodziutki
Dał Dzieciąteczku krzyżyczek malutki,
Który wystrugał, pasąc na ugorze.
A malusieńkie Dzieciąteczko Boże,
Wziąwszy krzyżyczek od tego pastuszka
Przycisnęło go do swego serduszka;
Usteczka jego cicho zapłakały,
Łezki się z oczek na krzyżyk polały.
A tym krzyżykiem, Boskie Jezus Dziecię,
Będąc w Betlejem, później w Nazarecie,
Z łezkami w oczkach zawsze się bawiło,
Z krzyżykiem spało, o krzyżyku śniło.
Pragnęło umrzeć już na tym krzyżyku,
Za ciebie dziewczę, za ciebie chłopczyku,
Którzy rodziców swoich nie słuchacie
Wciąż się kłócicie, Boga nie kochacie.

Jantek z Bugaja.

Co zając opowiadał Tomkowi.

Jaki śliczny był dzień! Jak jasno świeciło słońce, jak pięknie śpiewały ptaszki — bo to była wiosna. W powietrzu rozlegały się śpiewy i Tomkowi, gdy wyszedł w pole zdawało się, że jest w środku jakiejś olbrzymiej grającej szkatułki, gdzie zamiast muzyki odzywają się głosy ptaków.

Wysoko pod niebem, skowronek wysilał się, ażeby Tomka zachwycić swoim śpiewem, bo wiedział, że kto jego śpiew usłyszy, staje się lepszym i szczęśliwszym. A Tomek czem chciał wywdzięczyć się ptaszkowi za śpiewanie? Przykro mi i wstyd powiedzieć, że właśnie szukał skowrończego gniazda... żeby z niego wybrać jajeczka! Te jajeczka, które biedna samiczka skowronka złożyła w starannie uwitem gniazdeczku i osłaniała tak troskliwie skrzydełkami od zimna i deszczu, aby z nich mogły wykluć się maleńkie skowroneczki, które ona miała wychować, wyuczyć śpiewu i tępienia owadów, na pożytek ludziom. Ale Tomek o tem nie myślał, bo nigdy mu tego nie mówiono. Myślał tylko, jak znaleźć jajka, wybrać je, zanieść do domu, pokazać innym dzieciom, a potem wyrzucić na śmiecie.

Pierwiosnki kołysały żółte główki w świetle słońca, skowronek śpiewał wysoko... Tomek pewny był, że tu gdzieś niedaleko musi mieć gniazdo i szukał go pilnie. Ale co to? Z pod jego nóg zerwało się coś dużego, brunatnego, lecz zamiast frunąć w górę, puściło się cwałem po ziemi... Tomek nieraz widział to zwierzątko.

— Huzia! Huzia! Bierz go! — zawołał z przyzwyczajenia, zapominając, że niema tu jego psa, Żuczka. Zamierzył się tylko kijem, który trzymał w ręku, i rzucił nim w zająca, ale na szczęście nie trafił. Zając wcale się nie przeląkł. Może wiedział, że zdąży uciec, zanim dosięgnie go kij, rzucony ręką takiego małego chłopczyka. Odbiegł kawałek drogi, zatrzymał się, odwrócił, stanął słupka na tylnych nogach i popatrzył na Tomka.

— A widzisz, że mnie nie możesz dogonić — powiedział do Tomka, który biegł za nim.

— Widzę! — odpowiedział Tomek. — Biegasz prędzej, niż ja.

— Nie mogę tego zrozumieć — zaczął zając — jak może chłopczyk, który ma dobre serce, straszyć i płoszyć takie biedne, lękliwe zwierzątko, jak ja, prześladowane na różne sposoby przez wszystkich?

— Co to znaczy prześladowane? — zapytał Tomek. — Nie rozumiem tego wyrazu. Strasznie jest długi.

— Szkoda, że taki mały, jak ty, chłopczyk potrafi już robić źle, choć nawet nazwać nie umie. Prześladować kogoś, to być dla niego okrutnym, a jeżeli straszysz, dokuczasz, zadajesz ból jakiemu zwierzęciu, to znaczy właśnie, że je prześladujesz.

— Gdybym wiedział, że to źle, nie robiłbym tego — usprawiedliwiał się Tomek.

— Więc nie rób już nigdy! — prosił zając — a zwłaszcza nie dokuczaj mi, bo ja mam i tak wielu nieprzyjaciół, którzy mnie prześladują.

— Jakichże ty masz nieprzyjaciół? — pytał Tomek.

— Mam ich mnóstwo — użalał się zając. — Pierwszym moim wrogiem jest ten niegodziwy lis, zawsze gotów zabić mnie i pożreć, gdy tylko zdarzy się sposobność. Zwierzę to bardzo przebiegłe, a że nie umie biegać tak prędko, aby mnie schwycić, więc szuka różnych sposobów i rzuca się na mnie, kiedy najmniej spodziewam się tego. Czasem zaczai się w dziurce pod płotem i śledzi mnie z ukrycia a kiedy nadbiegnę, wyskakuje, chwyta mnie zębami i zabija, bo jest o wiele silniejszy ode mnie. A czasem jeden lis goni mnie i pędzi do miejsca, gdzie siedzi zaczajony drugi lis, i ten wyskakuje z zasadzki, i oba mordują mnie i zjadają do spółki!

— Niegodziwcy! — oburzył się Tomek.

— Nieprawdaż? Albo i to straszne zwierzątko — łasica! Ściga mnie, dopóki nie schwyci, wtedy przegryza mi gardło i wypija wszystką krew ze mnie!

— To okropne! — potakiwał Tomek. — Ale nie mogę tego zrozumieć. Przecież łasica nie umie biegać tak szybko, a ty biegasz prędzej nawet, niż konie. Gdybyś uciekał nie mogłaby cię złowić.

— Bo nie wiesz, w jaki sposób ona to robi — tłomaczył zając. — To wstrętne zwierzę ściga mnie bezustannie, idąc moim tropem, i nie odstępuje ani na chwilę. Trzeba ci wiedzieć, że ja, gdzie przejdę, pozostawiam po sobie „trop“, to jest odrębny zapach.

— Doprawdy? — zadziwił się Tomek. — Jakie to dziwne! Ja siedzę tuż przy tobie i nic nie czuję,

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Próżniaczek.

Wśród kwiatów i chłodu
Swierszcz igrał za młodu,
Nie myśląc o wichrach jesieni;
Nie zbierał żywności,
Niepomny przyszłości
Czas trwonił wśród pięknej zieleni.

Choć matka mówiła
Choć pracy uczyła,
Próżniaczek na później odkłada.
— Czas jeszcze na zbiory,
On w dłuższe wieczory
Najwięcej niż inni naskłada —

I skacze wesoło,
A wszyscy wokoło
Do pracy się biorą ochoczo.
— Czas jeszcze — wciąż mawia —
I znów się zabawia.
Wtem zimna jesienne zaskoczą.

Więc skory do pracy,
Jak wszyscy próżniacy
Puściutkie znajduje śpiżarnie.
Choć radby pracować,
Już nie czas żałować
I zginął z próżniactwa świerszcz marnie.

Wszak wszyscy to wiecie,
Więc łatwo zgadniecie,
Co znaczy ta mała bajeczka.
Niech ona przestrzega,
Gdy chęć was odbiega
I z rąk się wysuwa książeczka.

W obronie dzieci.

W dalekiej mroźnej krainie, gdzie noc panuje większą część roku, a promienie słońca nie mają siły stopić lodów i śniegów, żyła biała niedźwiedzica.

Wielkie to było, niezgrabne i straszne zwierzę. Obrośnięte żółtawo-białemi kudłami, o łapach silnych, potężnych, opatrzonych ostrymi mocnymi pazurami. Ale to ciężkie, wielkie, niezgrabne i drapieżne zwierzę, umiało kochać czule, kochać z poświęceniem bez granic swoje małe dziecięta.

Zanim nastały najtęższe mrozy, co zabijają wszelkie życie na ziemi, ona wgrzebała się w śnieżne zaspy i ułożyła się tam wygodnie na krze lodowej, do snu zimowego. Za pościel służyły jej wielkie miękkie kudły, jej własne ciepło ogrzało i stopiło najbliższą jej ciała warstwę śniegu i tak utworzyła się dokoła niej twarda, lodowa chrusta, oddzielająca niedźwiedzicę od śniegów ją otaczających. Pożywienia nie potrzebowała, bo zanim położyła się na sen zimowy, zjadła taką masę wielorybiego tłuszczu, że zapas ten nagromadzony w jej ciele, mógł jej wystarczyć na całe miesiące.

W tej śnieżno-lodowej grocie mieszkała nie sama, ale z dwojgiem malutkich, białych niedźwiadków, które były prześliczne — futerko ich lśniło blaskiem srebra, a były z początku tak maleńkie, jak króliki, potem rosły, aż doszły wielkości pudla. Cały czas ssały mleko matki, która w miarę wzrostu dzieci chudła, bo żywiła je własnemi sokami. Tymczasem minęły najmroźniejsze miesiące i kończył się marzec. Osłabiona matka nie miała już czem karmić dzieci, które coraz więcej potrzebowały żywności. Wycieńczona głodem, osłabiona długiem leżeniem, wstała z legowiska z

trudem, przebiła twardy śnieg i wraz z dzieciętami wydobyła się na powierzchnię ziemi.

Jasne, blade promienie marcowego słońca, oświecały zmarzłym śniegiem pokrytą ziemię, żadnej żywej istoty dokoła. Gdzież tu znajdzie pożywienie dla siebie i dzieci?

Ale niedźwiedzica znała dobrze swój kraj, przeżyła w nim niejeden rok, więc umiała sobie radzić. Zostawiła dzie-



cięta na brzegu morza, zaleciła im tu czekać, a sama zanurzyła się w wodę; po chwili wypłynęła na powierzchnię, niosąc rybę w pysku.

Dziecięta ucieszyły się, ujrzawszy matkę, poskoczyły ku niej i wychwyciły z jej pyska smaczną rybkę, a gdy szarpały ją ostrymi zębami, matka cieszyła się i patrzyła z zachwytem, jak srebrzysty ich włos połyskiwał się w pro-

mieniach bladego, jasnego, polarnego słońca. Rybka była smaczna, ale mała, więc matka zachęciła dzieci, aby z nią razem zanurzyły się w wodę i spróbowały same poszukać pożywienia.

W morzu najedli się wszyscy do syta, ale dzieciaki nie nawykłe do ruchu i pracy, zmęczyły się bardzo, więc dobra matka położyła się na lodzie, dzieci wskoczyły na jej szeroki zgrzbiet, a ułożywszy się na miękkich kudłach, jechały potem wygodnie na jej plecach.

Wtem stanęła. To wiatr przyniósł jej jakąś woń podejrzaną, rozdęła nozdrza, wciągnęła w siebie silnie powietrze i stała jak wryta. Nie mogła się łudzić, zwęszyła w tej stronie ludzi. Nie bała się ich, wszak była silna bardzo i pokonać ich mogła — ale teraz spotkać się z niemi nie chciała, bo miała z sobą dziecięta. Ich narażać nie śmiała na niebezpieczeństwo. Zaczęła więc uciekać, ale w ucieczce jedno niedźwiedziątko spadło na ziemię, a równocześnie biedna matka usłyszała ujadanie psów. Nie czas było kłaść się na ziemię i czekać, aż niezręczny malec wygramoli się znowu na grzbiet matki, więc porwała nieostrożnego dzieciaka w pysk i uciekała dalej.

Lecz psy zbliżały się coraz bardziej, jej tchu już nie stawało, bo niosąc dziecię w pysku, nie mogła oddychać swobodnie, a tu psy już ją doganiały. Rzuciła więc dziecko przed siebie, odwróciła się do niego tyłem i zwróciła się ku psom. Stanęła na dwóch łapach. Drugie niedźwiedziątko spadło, a ona tymczasem gryzła się z psami, i kaleczyła je. Pokaleczone psy odwróciły się od niej, czekając, kiedy zbliżą się ludzie, a ona tymczasem dopadła dzieciąt i ruchem, mruczeniem, minami pieszczotliwemi zachęcała je do ucieczki. Lecz malcy niedosyć ją rozumiały, czy może jeszcze biegać szybko nie umiały, dosyć, że uciekały wolno. Nadaremnie je matka popychała, trącała, błagała... Znowu psy nadbiegły, a z nimi i ludzie. Padł strzał jeden, drugi, trzeci, aż jeden z nich ugodził w głowę biedną matkę...